Nr. 49 Rok 3 Kraków, dnia 6 grudnia 1942 40 gr.

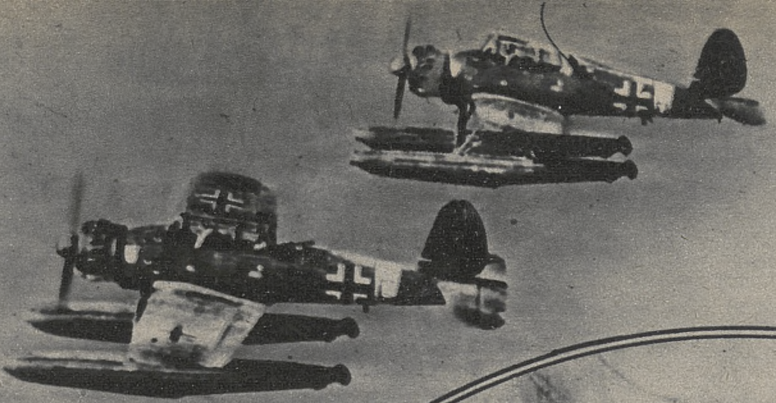
Ilustrowany Kurier Polski



„GAPCIU, TO OD ŚW. MIKOŁAJA!"
Fot.: Borek

TYGODNIK WOJENN





NIEMIECKIE HYDROPLANY W LOCIE WYWIADOWCZYM



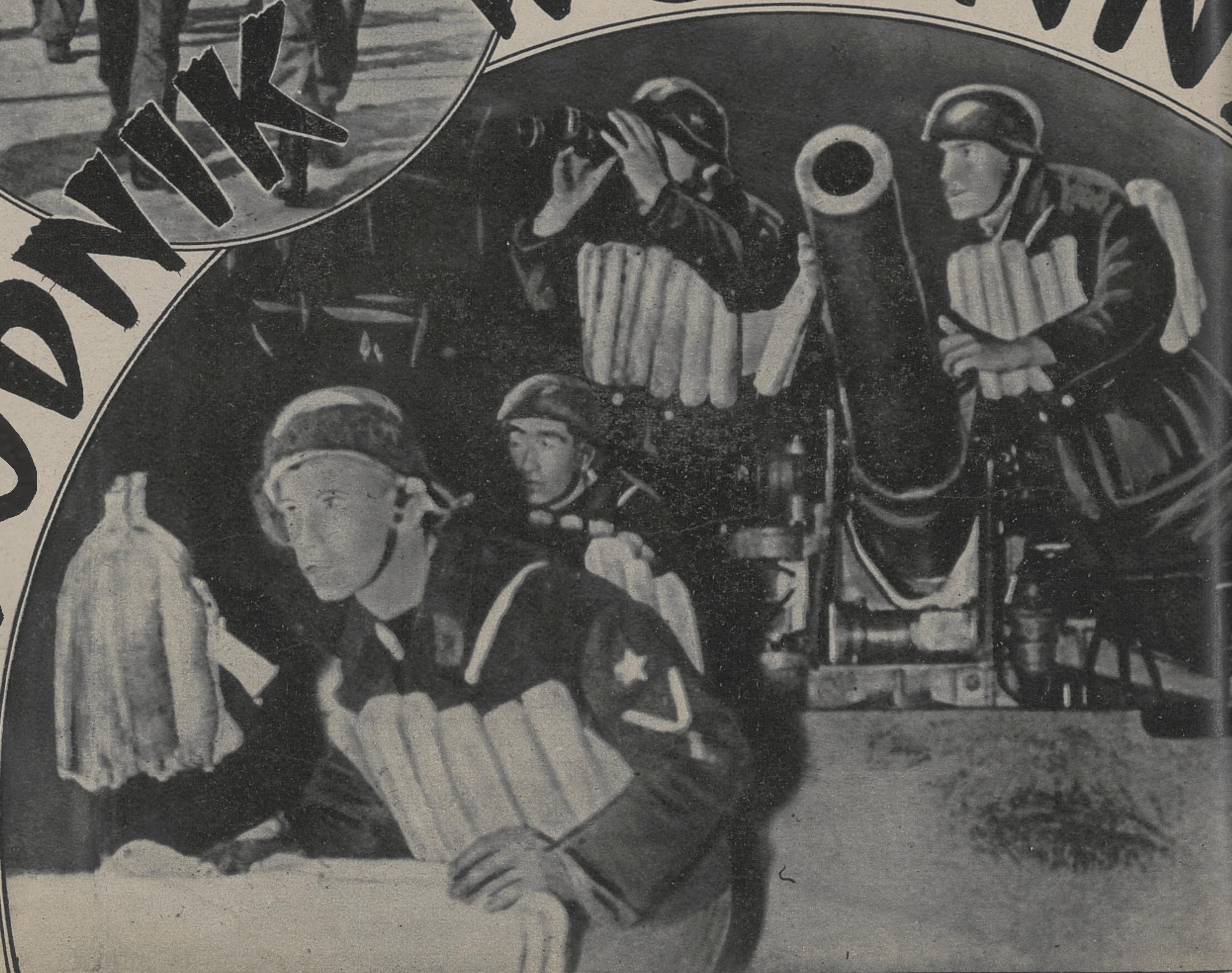
W kole na prawo:
„LOTTY" OPATRUJĄ RANNYCH

Członkinie wielkiej i niezwykle czynnej fińskiej organizacji kobiecej „Lotta" towarzyszą wojskom fińskim na froncie jako samarytanki. Na ilustracji widzimy jak jedz sióstr, należących do organizacji „Lotta", po opatrunku, częstuje papierosem żołnierza fińskiego.

OBRAZEK Z KONTRAKCJI MOCARSTW OSI W TUNISIE
Spotkanie z tuniskim jeźdźcem na wielbłądzie.



POŁUDNIOWA FRANCJA POD OPIEKĄ WOJSK NIEMIECKICH
Na rozkaz Führera przekroczyły wojska niemieckie linię demarkacyjną, by chronić francuskie terytorium przed zamierzonym wylądowaniem wojsk angielsko-amerykańskich i przejęły na siebie obronę południowych wybrzeży Francji. Nasze zdjęcie przedstawia żołnierzy niemieckich na jednej z ulic Marsylii.

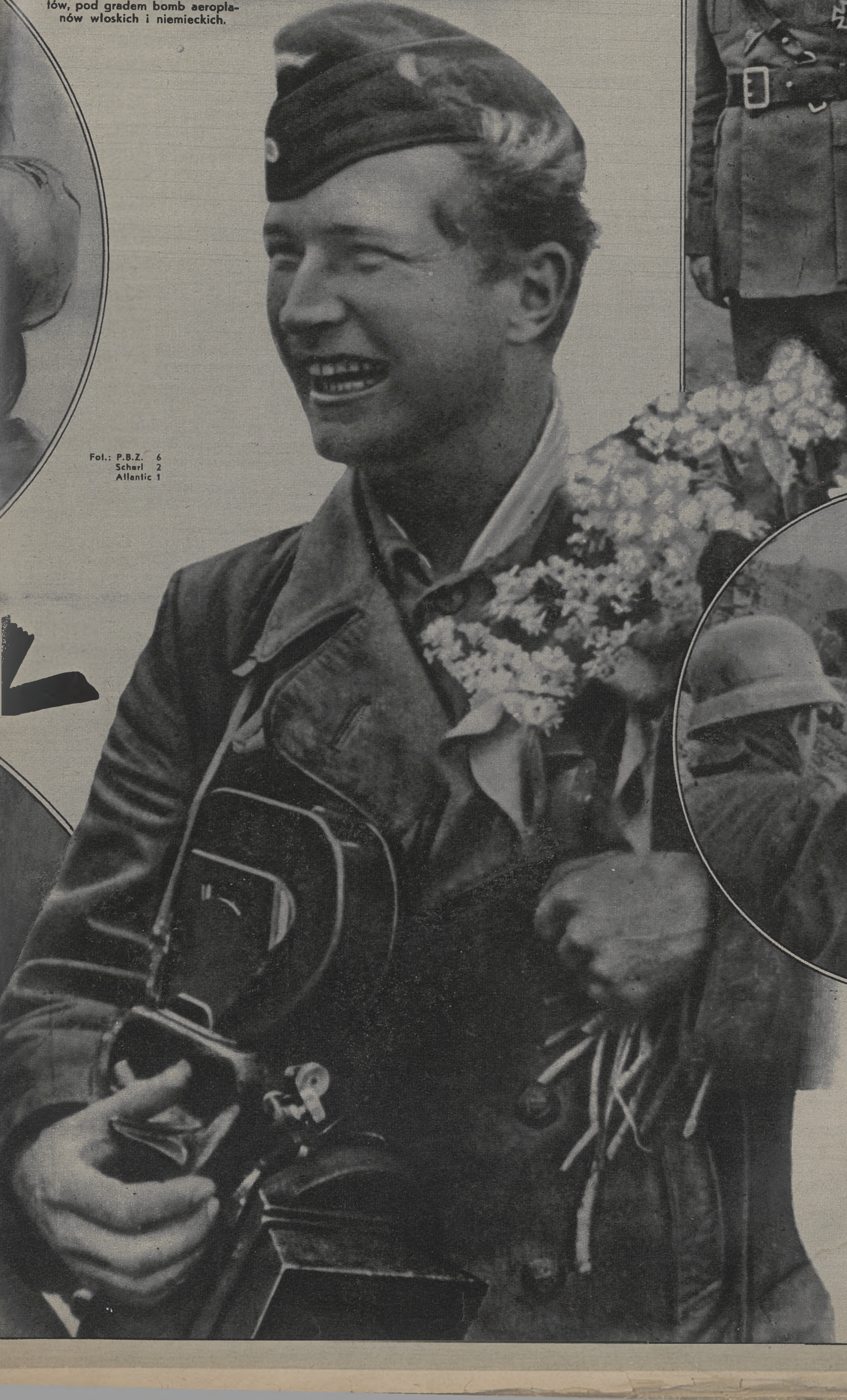


POTYCZKA NOCNA W KANALE
Jedna z niemieckich łodzi strażniczych spotkała się niespodzianie z angielską łodzią pościgową. Celny pocisk wypuszczony z niemieckiej łodzi zapalił łódź angielską. W jasnym blasku płomieni palącej się łodzi, niemiecki sprawozdawca wojenny sfotografował załogę swej łodzi w chwili, gdy obserwuje z uwagą eksplozję angielskiej łodzi pościgowej.



„ORŁY" NAD MORZEM ŚRÓDZIEMNYM

— wiozą bomby dla Algieru. Od początku prób amerykańsko-brytyjskiej inwazji w północnej Afryce, znajdują się tereny lądowania i drogi dowozowe aliantów, pod gradem bomb aeroplanów włoskich i niemieckich.





WYSOKIE ODZNACZENIE GENERAŁA RUMUŃSKIEGO

Generał Michai Laskar (na lewo) otrzymał od Führera liść dębowy do Rycerskiego Żelaznego Krzyża.

Fot.: P.B.Z. 6
Scherl 2
Atlantic 1



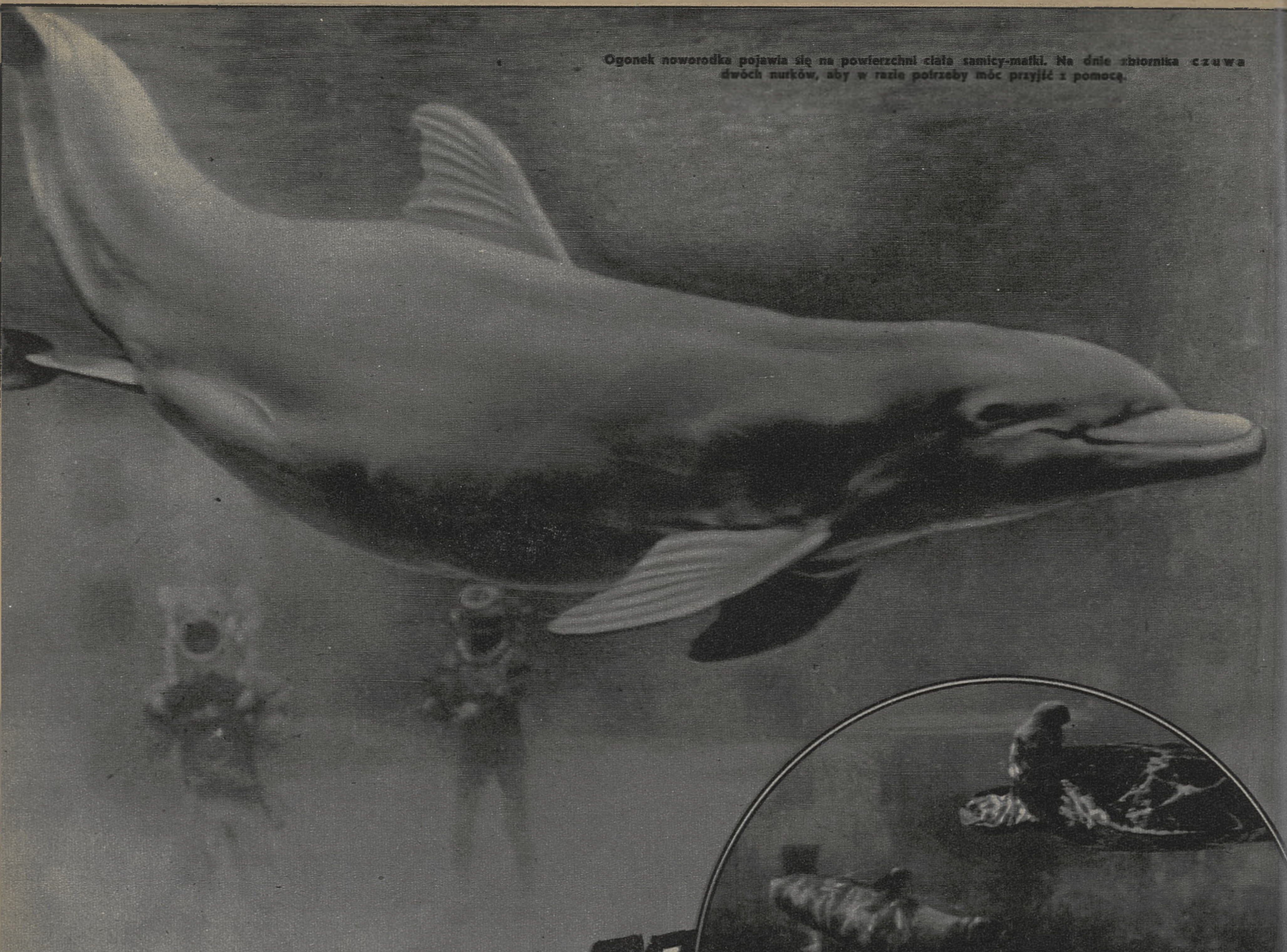
W NIEMIECKICH OKOPACH, NA FRONCIE W OKOLICY RŻEWA

Nasza ilustracja przedstawia żołnierzy piechoty niemieckiej po pełnej sukcesów, zwycięskiej walce przed zniszczonymi czołgami sowieckimi, które zdołano zniszczyć tuż przed okopami.

POWRÓT ŁODZI PODWODNEJ Z WYPRAWY

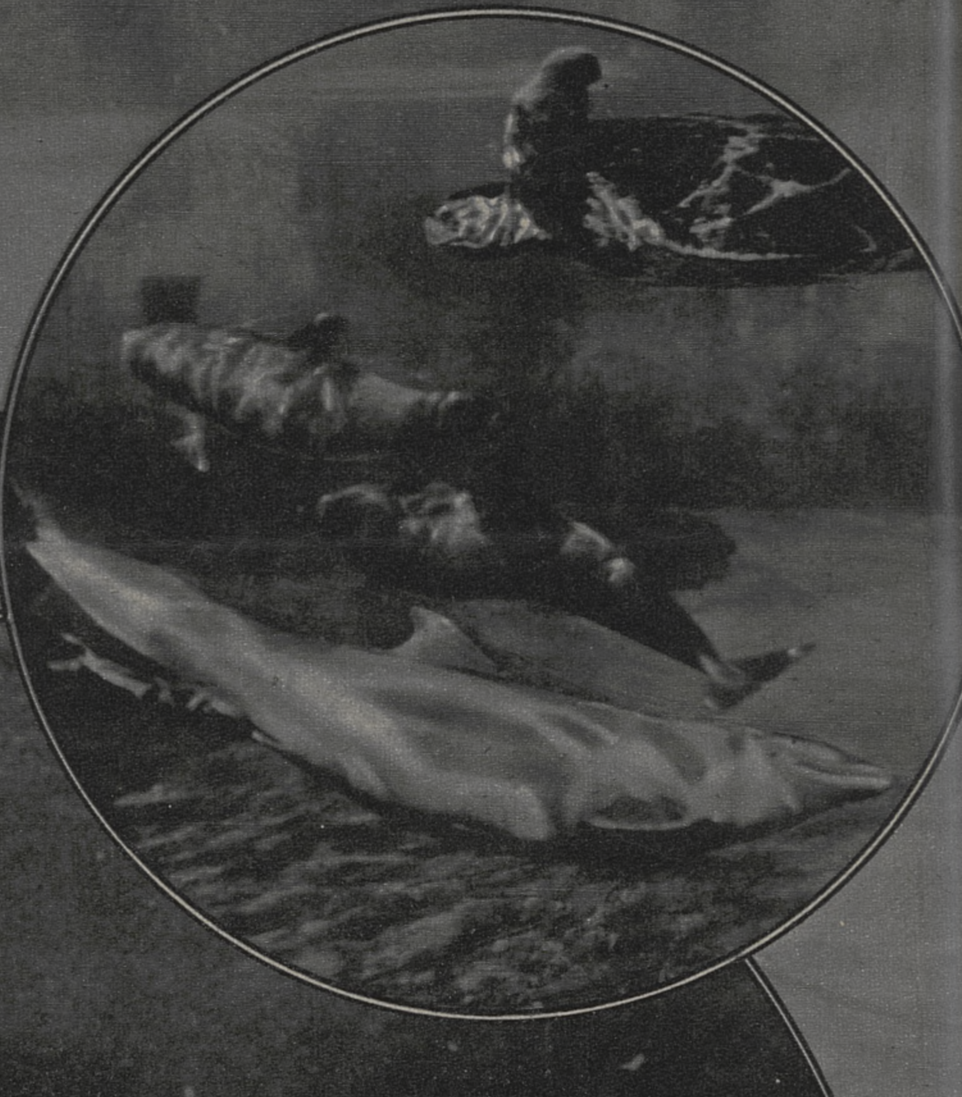
Powitanie niemieckiego reportera wojennego po powrocie do ojczyzny. Sprawozdawca ten filmował podróż niemieckiej łodzi podwodnej do Ameryki. Jego zdjęcia wyświetlano we wszystkich tygodnikach wojennych kin. Jakie sukcesy odnoszą niemieckie łodzie podwodne możemy ocenić z godnego wzmianki sprawozdania angielskiego admirała Richmonda, który oświadczył że Anglia straciła trzecią część swych okrętów i prawie połowę tych krążowników i kontrtorpedowców, z którymi wojnę rozpoczęła. Niszczącą siłą są przede wszystkim, prócz min i broni powietrznej niemieckie łodzie podwodne. Niesłychanie niepokojącym jest fakt, że cyfra zatopionego tonażu anglo-amerykańskiej żeglugi coraz bardziej wzrasta.

W listopadzie zatopiono 166 okrętów o łącznej pojemności 1 035 200 ton, z tego same łodzie podwodne zatopiły 149 o pojemności 955 200 ton



Ogonek noworodka pojawia się na powierzchni ciała samicy-matki. Na dnie zbiornika czuwa dwóch nurków, aby w razie potrzeby móc przyjść z pomocą.

NARODZINY



Po blisko trzech godzinach pojawia się wreszcie głowa „dziecka". Inne delfiny okrążają stale matkę. Również olbrzymi żółw okazuje żywe zainteresowanie tym radosnym zdarzeniem.



Matka stara się wydobyć urodzonego już noworodka na powierzchnię wody celem umożliwienia mu oddechania.

DELFINKA

W przeciwieństwie do dokładnie znanych stadiów rozwojowych zwierząt lądowych tajniki życia wielkich mieszkańców mórz uchylają się przyrodniczo-naukowej obserwacji i w większości wypadków są dla niej bardzo trudno dostępne. Toteż zobrazowany przez nas wypadek był dla uczonych pewnego wielkiego instytutu badawczego nie lada sukcesem. Dzięki możności umieszczenia samicy delfina w ogromnym akwarium i troskliwej nad nią opiece udało się mianowicie utrwalić fotograficznie po raz pierwszy w historii nauk przyrodniczych narodziny delfinka we wszystkich interesujących okresach, przedstawionych na naszych ilustracjach.

Delfiny — w przeciwieństwie do mniemania wielu laików — nie są rybami, lecz ssakami morskimi, rozpowszechnionymi w kilku gatunkach w morzach i oceanach całej półkuli. Znane już w starożytności, dzisiaj jeszcze stanowią miłą rozrywkę dla pasażerów odbywających długie podróże morskie urozmaicając monotonię pełnego morza swymi niezrównanymi igraszkami na falach. Toteż niejeden podróżnik wspomina je z wdzięcznością w opisach swych morskich wędrówek.

W mniejszych lub większych gromadach towarzyszą statkom przez długie godziny i nie pozostając w tyle dorównują nawet nowoczesnym szybkobieżnym motorowcom. Płyną linią falistą, nurkując i pojawiając się znowu na powierzchni. Liczne z nich dokazują przy tym cudów zręczności i akrobatyki. Co chwilę wystrzela któryś łukiem w powietrze, błyskając perłowo nad modrymi falami, po czym cicho niknie pod wodą, drugi koziołkuje w powietrzu trzepiąc zabawnie ogonem, trzeci znowu wystrzela świecą w górę, by po kilkakrotnym odbiciu się na ogonie ponownie zatonąć w odmęcie, inne pokazują na powierzchni swe dziubaste głowy i z głośnym sapnięciem zapadają w głębinę.

Toteż delfin dzięki swej szybkości i zręczności uważany był w wiekach średnich za króla mórz i wód, za symbol siły i chytrości. Podobizny jego umieszczano na herbach, wybijano na monetach i dukatach, umieszczano na sztandarach, we Francji zaś pierworodny syn królewski otrzymywał tytuł Delfina.

Mniej natomiast zachwyceni są delfinem rybacy, uważając go — nie bez podstaw — za groźnego rozbójnika i wielkiego szkodnika rybostanu morskiego. Silne to i okazałe, bo dwa do czterech metrów długości liczące zwierzę odznacza się nielada żarłocznością i nigdy nienasyconym apetytem. Z niezwykłą zwinnością ugania się za ławicami drobnych ryb jak śledzi, sardeli i sardynek, nie przepuszczając nawet błyskawicznym rybom latającym.

Oto jak jeden ze znanych przyrodników opisuje barwnie polowanie delfinów na sardynki: „W pobliżu naszej łodzi, w obwodzie nie większym jak trzydzieści kroków, delfiny śmigały po falach jak szatany. Wystrzelały wysokimi susami z wody, a ich smukłe, gładkie ciała błyskały w promieniach słońca jak zwierciadła, zanurzały i wynurzały się z bajeczną szybkością, potężne zaś ogony biły z siłą o wzburzoną powierzchnię wód, gdy jak błyskawica wpadały w rojącą się ciżbę srebrzystych rybek... Widziało się tylko ustawicznie grające gwałtownie fale, piany i pryski, susy i oślepiający błysk gładkich ciał, tak, iż spokojne morze robiło w tym miejscu wrażenie wrzącej kipieli".

Do niedawna utrzymywało się wśród podróżników twierdzenie, że rybacy niektórych wybrzeży korzystają z pomocy delfinów przy połowach ryb, przywabiając je w pobliże łodzi gwizdaniem. Faktem jest, że na gwizdanie są one wrażliwe, natomiast napędzanie rybek przez delfiny do sieci odbywa się bezwiednie i przypisać należy je raczej ich wielkiej żarłoczności: ryby, uciekając całymi ławicami przed prześladowcami owczym pędem wpadają w nastawione na swej drodze niewody.

Niekiedy odbywają się, przeprowadzane gromadnie przez rybaków połowy delfinów celem uzyskania tranu przez wygotowanie tłuszczu nagromadzonego podskórnie, podobnie jak słonina.

Józef Łukaszewicz

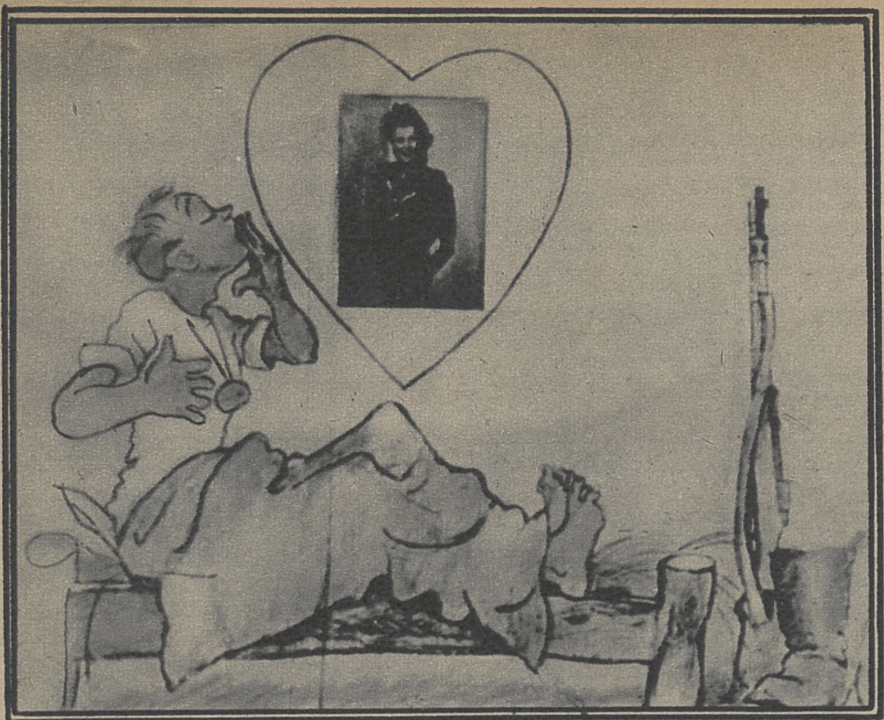


Próby wydobycia delfinka przez matkę na powierzchnię wody pełzną na niczym. Czuwający w pogotowiu nurkowie spieszą z pomocą, stosując sztuczne oddechanie. Niestety i te zabiegi nie dają pożądanego wyniku, młody delfinek rozstaje się ze swym krótkim żywotem. Tak oto natura mści się za wydarcie jej niezgłębionych tajemnic.



Matka zanurza się, ocierając przy tym bardzo delikatnie brzuchem i ogonem o dno morskie, aby w ten sposób ułatwić lekkie i szybkie powicie poruszającego się już połomk

Fot.: Witzleben-Peters

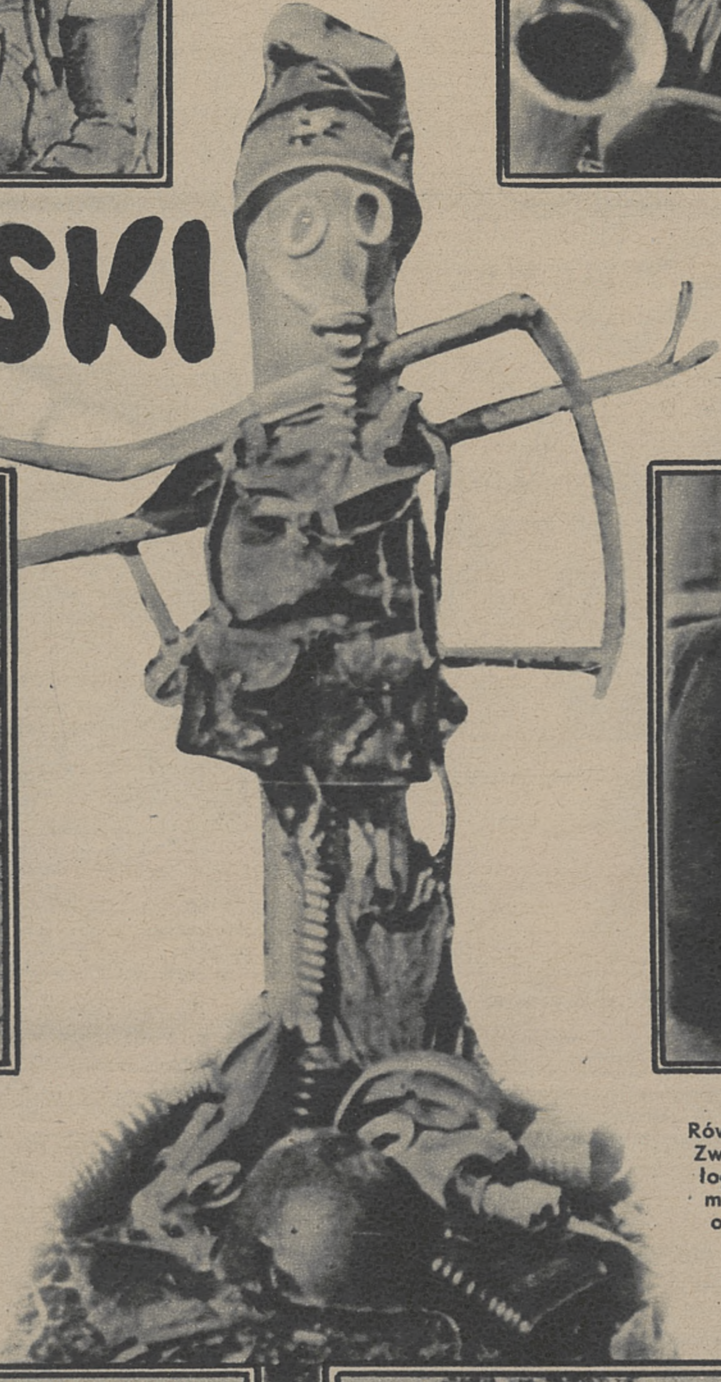


„MARZENIA O ZMROKU" ŻOŁNIERZA NA FRONCIE
Pełna humoru fantazja żołnierska ma nieograniczone pole do popisu, jeżeli chodzi o przyozdabianie sobie kwatery. Oto pewien niemiecki sprawozdawca wojenny upiększył ścianę swej kwatery, pomysłowym szkicem na temat: Tęsknota i miłość.

ŚMIEJĄCY SIĘ SAKSOFON
Komik kompanii, który jest zarazem znakomitym saksofonistą zabawia kolegów swą grą i dowcipami, mając za plecami bardzo interesujące tło.



ŻOŁNIERSKI HUMOR



DROGOWSKAZ. Żołnierze fińscy obwiesili ze swoistym poczuciem humoru — rzeczami zdobytymi na bolszewikach — słupy kilometrowe, znajdujące się na samotnych bezkresnych drogach, wśród lasów Karelii.



ŁYK CIEPŁEJ STRAWY DLA ZNAJDKA
Żołnierze zawsze lubią dzieci. Oto wzruszający obrazek z terenów walk w Azji wschodniej. Japońscy żołnierze zaopiekowali się opuszczonym dzieckiem chińskim i pokrzepili go kawą.

Fot: Scherl 3, Sammlung Seiler 1, P. B. Z. 2, Atlantic 1



SZPIC TIKKI
Również i zwierzętom powodzi się dobrze u żołnierzy. Zwłaszcza psy płynące na okrętach lub należące do załogi samolotów są ulubieńcami wszystkich. Tu jak widzimy mały szpic znajdujący się na jednym z niemieckich okrętów wojennych zawarł całkiem zrozumiałą wielką przyjaźń z kucharzem.



DO WALKI TOREADORZE!
Marynarze należący do załogi łodzi podwodnej i przebywający chwilowo na wybrzeżu Atlantyku zabawiają się w hiszpańską walkę byków. Jeden toreador i dwóch ludzi do drażnienia zwierzęcia wystarcza, by wywołać prawdziwe huragany śmiechu u widzów.



WALKA LUDZI I BAWOŁÓW
W innym odcinku frontu walczą ze sobą dwa bawoły stepowe oraz jeźdźcy siedzący na nich ku wielkiej uciesze reszty żołnierzy, którzy ustawicznie dopingują głośnymi okrzykami walczących do dalszych zapasów.

Niemiecki żołnierz frontowy odznacza się całkiem odrębnym rodzajem humoru. Humor ten jest na ogół niewyszukany, wznoszący się niekiedy do groteski, potrafi jednak być również subtelnym i delikatnym.

Są rubaszne dowcipy opowiadane wieczorem przy ognisku, którym towarzyszą salwy beztroskiego śmiechu. Są jednak i takie sytuacje, w których gra idzie o śmierć i życie, gdy granaty wstrząsają okopami, lub gdy dokoła łodzi podwodnych pękają bomby wodne, albo gdy odłamek pocisku, długości łokciowej wbija się w kadłub bombowca; wtedy to bardzo często najlepszym kolegą jest ten, kto potrafi przy pomocy jakiejś głupiej, bezsensownej uwagi odprężyć sytuację. I wtedy to na twarzach, które co dopiero poznały powagę śmierci zjawia się uśmiech.

Humor niemieckiego żołnierza pochodzi z serca i dlatego jest prawdziwym; wiąże on kolegów ze sobą. I każda kompania dumną jest ze swego wesołka umilającego jej różne przeżycia swymi dowcipami i kawałami.

6. ciąg dalszy



Sala koncertowa huczała. Zadźwięczał pierwszy dzwonek. Po chwili w drzwiach wejściowych ukazało się troje ludzi: Florentyna, Edyth i Stanisław.

Wrzawa sali poczęła niespodziewanie przycichać. Głosy ludzkie rwały się i słabły, nie dokańczając rozpoczętych już niejednokrotnie słów — wreszcie ustały nagle. Zrobiła się cisza. Cisza ta uderzyła Florę i Edyth: przerwały rozmowę i zaskoczone spojrzały po sali.

Wówczas Florentyna dostrzegła setki utkwionych w siebie oczu. Oczy te, pełne zdumienia i niedowierzania, obejmowały ją całą, by z kolei przerzucić się na najbliższych sąsiadów z niemym zapytaniem, a potem znów skierować się na nią.

W pierwszej chwili nie zrozumiała, o co chodzi. Zatrzymała się i stała nieruchomo, oblana światłem żyrandoli. Puszyste kędziory połyskiwały złotawo na wszystkich zagięciach, więc główkę jej otoczyła jasność, jak aureola. Ulewa blasków biła w jej twarz, pozwalając obecnym podziwiać przecudne rysy.

Hrabia podniósł się i złożył Florentynie głęboki ukłon, a Jeanne poczęła w kierunku jej kiwać rączką.

— Kto to jest? Kto to jest? — padł grad pytań w stronę Jeanne.

Mała hrabianka natychmiast uświadomiła najbliższych. Imię Flory poczęło krążyć z ust do ust.

Nagle sala koncertowa zadrżała od oklasków i wiwatów. Uczynił się łoskot i ruch: to w lożach i dalszych miejscach publiczność podnosiła się, by lepiej widzieć cudnie piękną dziewczynę.

Florentyna nareszcie zrozumiała. Zmieszała się bardzo. Nagle usta jej rozchyliły się i posłały publiczności uśmiech na znak podziękowania.

Wtedy prawdziwy szał porwał zgromadzonych. Entuzjazm, jaki trzydzieści lat temu wybuchł w tej samej sali na widok uśmiechu Marii Larosse, był niczym w porównaniu z burzą, jaka zerwała się po uśmiechu Flory. Publiczność stawała na krzesłach, lub opuszczała swe miejsca, tłocząc się ku niej. Do nóg jej poczęły padać chusteczki, programy, rękawiczki.

Grzebiński patrzał spokojnie na to wszystko, ale serce jego rozsadzała radość i duma, że ubóstwiana kobieta odbiera hołdy, godne swej piękności.

Gdy Florentyna weszła na salę, samotny człowiek w parterowej loży zauważył ją na równi z innymi. Podniósł się na całą wysokość swego nadludzkiego niemal wzrostu i przechylił się przez oparcie. Jego długie palce wpiły się, jak szpony, w aksamit obicia.

Grom uderzył w duszę Benedykta Cumy druzgocąc i rozsypując w proch wszystko, co było w niej dotąd. Świat przestał istnieć i zapadł się pod ziemię razem z Francuzami, Paryżem, koncertem, zemstą Jeanne... Pozostało tylko jedno: wysmukła postać koloru herbacianych róż, a nad nią cudowna główka.

Chrapliwym głosem wymawiał jakieś urywane, krótkie wyrazy, wyciągając przed siebie dłonie takim ruchem, jakby chciał chwycić i przyciągnąć ku sobie jasną postać, stojącą między estradą, a pierwszym rzędem.

Nikt tego nie widział. Wszyscy patrzyli na Florentynę, która nie wiedziała o tym, że w tej chwili wyrywa strasznej śmierci niewinną ofiarę, że wydziera ją planowanej od lat całych zemście, ukazaniem się swoim zabijając w Cumie wszystkie myśli i wszystkie plany. O wszystkim zapomniał! Nie wiedział ani gdzie jest, ani co się dzieje wokół. Widział tylko, że jasna postać podeszła jeszcze bliżej ku jego loży i usiadła obok innej jakiejś istoty, w której nie poznawał już Jeanne, tej samej Jeanne, której pięć minut temu jeszcze poprzysięgał śmierć!!!

Potem z daleka jakby z innego świata, dochodził do uszu jego śpiew kobiecy, ale do głowy mu nawet nie przyszło, że to śpiewa Maria Larosse, Maria hr. de Contades!

Widział przed sobą tylko jedną dziewczynę, o niej tylko myślał. Cudem jakimś uświadomił sobie, że dziewczyna ta weszła na salę w towarzystwie Edyth.

Wezwał do siebie portiera swej loży i ukazując mu z daleka białą suknię Edyth polecił, by podczas pierwszej przerwy oznajmił tej pani, że ma przyjść zaraz do jego loży.

Edyth przyszła.

Sala opustoszała, bo w chwili, gdy wyszła z niej Flora, wyszli za nią niemal wszyscy. Cuma chwycił córkę za przegub ręki.

— Edyth, kto to? Kto jest ta dziewczyna? Przyszła z tobą? Mów!

— To Dęborówna, właścicielka Hotelu Wielkiego! — szepnęła.

Osłupiał. Jak to? Więc była tak blisko, a on widzi ją pierwszy raz? Nic dotąd nie wiedział o niej? Niedorzeczna pretensja zrodziła się w nim:

— Dlaczego nie powiedziałaś mi nigdy, że... że to ona właśnie... że tak...

— Czego chcesz ode mnie! — szeptała przerażona Edyth.

Zatrzęsła nią trwoga o Florentynę.

Cuma wpijał w córkę gorejące źrenice. Mełł coś w ustach czas jakiś, wreszcie wyszeptał:

— Edyth... słuchaj...

— Ojcze! — jęknęła, składając ręce. Trupia bladość pokryła jej twarz, a oddech stał się gorączkowy i spieszny, jak u przerażonego zwierzęcia.

— Nie bój się! — warknął. Zrozumiał, że w tej chwili nie może zdradzić przed córką tego, co się w nim dzieje. Postanowił zmylić jej czujność. Nagle zobojętniał.

— Nic się nie stało! Przypuszczałem, że to ona i chciałem się upewnić, dlatego zawołałem cię. Ciekaw byłem, jak wygląda owieczka, której za moje grzechy garbują skórę.

Zarechotał ohydnie i odwrócił twarz. Czuł w ustach gorycz, a w krwi żywy ogień. Pierwszy raz w życiu miał wrażenie, że będzie chory.

A tymczasem w sali bufetowej Jeanne nie odstępowała Flory od pierwszej chwili, gdy ujrzała ją w domu rodziców, naiwne i czyste serce małej Francuzeczki przylgnęło do Flory ze wszystkich sił.

A przecież mała Jeanne zupełnie nie wiedziała o tym, że Florentyna ocaliła jej życie.

X.

Florentyna i Stanisław wracali do kraju w wybornych humorach. Flora czuła się doskonale i wyglądała doskonale; Stanisławowi do zadowolenia wystarczał fakt, że ona zapomniała w podróży o tragicznych przejściach i odzyskała dawny spokój.

Edyth została w Hiszpanii. Przewidywała, że przyjdzie jej tam zabawić miesiąc, może dłużej. Niezbyt spiesząc się wracali przez Francję. W Paryżu raz jeszcze widziała się Flora z Tomaszem. Wszyscy troje złożyli wizytę państwu des Contades.

Półdziecinna Jeanne rzuciła się Florentynie na szyję, nie mogąc ukryć radości z powodu jej przybycia. Konieczne chciała jechać z nią do Tatr, ale przerażona Flora pospiesznie wytłomaczyła jej, że sezon niedługo się kończy i zdołała nakłonić małą hrabiankę do odłożenia wyjazdu na rok następny.

Opuściwszy Paryż, Flora i Stanisław jechali dalej przez Belgję i Niemcy.

Na zalanej słońcem szosie dojrzano w Hotelu Wielkim granatowe auto Florentyny. Pensjonariusze wysypali się na drogę, jak rój pszczół.

Niemal porwano ją z wozu i w triumfie zawiedziono do Hotelu Wielkiego.

W pewnej chwili Flora posłyszała za sobą wdzięczny śmiech dziewczęcy. Wzdrygnęła się, nie wierząc własnym uszom. Obejrzała się szybko. Była zaskoczona, zdumiona, przestraszona i uradowana równocześnie:

— Agnes, pani tutaj?...

Agnes wyciągnęła ku niej ręce:

— A tutaj... Czy tak bardzo mi pani nierada?

— Nigdy bym nie przypuszczała, że zastanę tu panią!

— Postanowiłam zrobić pani niespodziankę! Czekam tu już dwa tygodnie!

Panna Balfoor była szczerze ubawiona zdumieniem Flory, która zresztą — mimo całe pomieszanie — nie potrafiła ukryć radości z powodu jej przybycia. A jednak często potem bywała nieraz zamyślona i smutna.

Pewnego wieczoru, gdy wszyscy rozeszli się już do swych „numerów", Florentyna zapukała do pokoju Agnes.

Agnes leżała już w łóżku.

— Ach, to ty, Floro!

— We własnej osobie! Bardzo ci przeszkadzam?

Agnes energicznie odsunęła nogą błękitną kołdrę na środek łóżka:

— Siadaj!

Florentyna usiadła i spoglądała na drzwi.

— Nie zamykasz się na noc?

— Nie! A po co?

— Zamykaj się, Agnes. Od tego jest klucz w zamku! Nie zrozum tego źle. Mojej służby jestem całkiem pewna, nie chodzi mi o kradzież.

— Mogę ci zrobić tę przyjemność, choćby zaraz!

Agnes wyskoczyła z łóżka i pobiegłszy ku drzwiom, zamknęła je na klucz.

Zaledwie weszła do łóżka, Flora objęła rączkami obie jej dłonie.

— Mam prośbę do ciebie, Agnes...

— Prośbę? Ależ słucham!

Flora nachyliła się i spojrzała jej w sam głąb źrenic. Była wzruszona i niespokojna.

— Agnes kochana! Na wszystko, co ci jest najdroższe, proszę, nie oddalaj się sama z Hotelu Wielkiego. Nie odchodź bez towarzystwa nigdzie, nawet do ogrodu, lub na korty! Nie pytaj, dlaczego, jeno zrób to dla mnie. Nie chodź nigdzie beze mnie, bez Stanisława, albo kogoś z mojej zaufanej służby! Dobrze, Agnes?

Łzy błysnęły w jej oczach i głos jej zadrżał miękką, słodką prośbą.

Agnes początkowo słuchała z powagą i zdumieniem, ale w miarę, jak Flora mówiła, uśmiech wracał jej na twarz. Zaraz domyśliła się, o co Florentynie chodzi.

— Przyrzekam ci to, Floro! Nigdy nigdzie nie pójdę sama! Ale obawy twoje są niesłuszne: ja nie mam zamiaru popełniać samobójstwa!

— Agnes! — krzyknęła Flora i nagle wybuchnęła płaczem.

Agnes przeraziła się. Wyskoczyła z łóżka i objęła Florę ramionami.

— Co ci się stało? Mój Boże! Czemu ty płaczesz, Floro! Nie płacz! Przysięgam ci, że na dziesięć kroków nie ruszę się bez któregoś z was dwojga! No, dziewczynko, uspokój się, uspokój!

Pochyliła nisko swą jasną głowę i całowała gorąco czarne kędziory Florentyny.

XI.

Dzień był posępny, ciemny i chłodny. Agnes wracała z Zakopanego do pensjonatu. Dostrzegłszy, przez ociekające wilgocią szybki limuzyny, światła Hotelu Wielkiego, poczęła zbierać i zwijać na palcach pakuneczki, rozrzucone na poduszkach.

Dokoła pensjonatu panowała cisza, przerywana pluskiem padających na ziemię kropel deszczu. Ze wszystkich okien biły blaski. Kto nie musiał, nie opuszczał w ogóle budynku, więc wszyscy pensjonariusze byli w swoich pokojach.

Gdy wóz zatrzymał się przed wejściem Agnes wyskoczyła na chodnik i, nie zważając na deszcz, poczęła zaglądać do okien. Dziwnie jakoś nie miała ochoty wejść do pensjonatu.

Nagle odwróciła się. Spojrzenie jej padło na las. Stał nieruchomy, czarny i ociekający wodą. Serce Agnes poczęło nagle bić; owładnęła nią nieodparta tęsknota za gęstwiną drzew i szelestem igieł pod stopami.

Od strony garażu dały się słyszeć kroki. To Grzebiński odprowadził wóz i szedł ku budynkowi głównemu. Agnes natychmiast pomyślała, że Grzebiński na pewno zdziwi się, ujrzawszy ją przed bramą, stojącą na deszczu. Wpadła więc w bramę i pobiegła na parter.

Drzwi od jadalni były otwarte. Flora dostrzegła ją.

— Dobrze, że już wróciłaś, bo na dworze bardzo jest brzydko! Kolacja gotowa!

— Jakoś nie jestem głodna — rzekła Agnes, nadstawiając Florentynie policzki do ucałowania. Gnębił ją wyrzut sumienia, bo przecież Flora tak prosiła ją, by sama nie oddalała się z pensjonatu...

— Muszę! muszę! na chwilkę! zaraz wrócę! — tłomaczyła się w duszy samej sobie. Głośno zaś powiedziała:

— Muszę się przebrać i obmyć. Nie przejmuj się, choćbym trochę zwlekała. Siadajcie do stołu, ja zaraz nadejdę!

— Dobrze! — odpowiedziała Flora.

Agnes wyszła z jadalni. Czuła wewnątrz jakieś niezwykłe podniecenie. Paliła ją ciekawość, pomieszana z uczuciem lęku i równocześnie rozkoszy. Coś ją gnało z domu, na dziedziniec, do lasu.

Cicho, jak kot, skradała się przez korytarz. Czuła, że gdyby ktokolwiek usiłował w tej chwili przeszkodzić jej, zabiłaby go bez namysłu. Ale nikt nie przeszkadzał. Najwierniejszy sprzymierzeniec — ciemność zasłonił ją przed oczyma ludzi.

Ścisnęła pod pachą torebkę i całym pędem poczęła biec w stronę lasu.

A tymczasem w Hotelu Wielkim kolacja kończyła się. Flora zabawiała gości opowiadaniem wrażeń ze swej ostatniej podróży. W pewnym momencie zorientowała się, że Agnes jeszcze nie przyszła.

— Adamie — rzekła do lokaja — proszę pójść do panny Balfoor i zapytać, czy nie życzy sobie by jej przynieść kolację do pokoju.

Lokaj wyszedł. Nie było go dość długo wreszcie przyszedł.

— Pani Balfoor nie ma w pokoju. Drzwi są zamknięte na klucz, a klucz wisi, jak zwykle, na haczyku.

Florentyna zdziwiła się.

— Przepraszam państwa! — rzekła nagle, wstając od stołu.

Szybko pobiegła na drugie piętro. Drzwi pokoju Agnes były rzeczywiście zamknięte, a klucz wisiał na zwykłym miejscu.

— Czyżby poszła w kostiumie do łazienki? — pytała z niepokojem samej siebie Florentyna.

Weszła do łazienki. Pusto. Poszła do następnej, do trzeciej, czwartej. Pobiegła na trzecie piętro, potem na czwarte, szukając Agnes. Wróciła znowu na drugie łudząc się, że może w międzyczasie Agnes przyszła do swego pokoju. Ale zastała drzwi zamknięte. Zdjęła klucz, otworzyła i weszła do środka. Wewnątrz nic nie wskazywało na to, by Agnes po powrocie z miasta była w swoim pokoju.

Flora wypadła na korytarz.

— Agnes! Agnes! — wołała rozpaczliwie, aż echo odpowiedziało jej ze ścian.

W jadalni zrobił się rumor: goście zerwali się od stołu. Przerażona służba biegła prędko na drugie piętro. Na schodach już minęli się z Florą. Biegła na parter.

— Agnes! Agnes!

Tak, jak była, w leciutkiej sukience wybiegła na dziedziniec, na deszcz i wiatr. Obłęd chwycił ją. Zalana łzami, półprzytomna z przerażenia i niepokoju, zanurzywszy wszystkie palce w rozwichrzonych włosach, krzyczała jakimś nieludzkim głosem:

— Służba! Szukać jej!

Sama pobiegła w stronę lasu. Zagłębiała się weń nie czując, że gałęzie biją ją po twarzy, rozdzierają sukienkę.

— Agnes! Agnes!

Wszyscy rozproszyli się w poszukiwaniu. Jeden tylko Stanisław nie szukał Agnes. Nie odszedł na krok, czuwając nad Florą. Strzegł jej w śmiertelnej obawie, by rozpacz nie pchnęła jej do jakiegoś strasznego kroku. Zdążał za nią do lasu, ale ona wracała już. Biegła teraz całym pędem do pensjonatu. Nie widziała Stanisława, który krył się przed jej oczyma. Wpadła do swego pokoju na pierwszym piętrze. Biegł za nią, przeskakując po kilka stopni naraz.

Przypadła do nocnej szafki. Mały damski rewolwer znalazł się w jej ręce. Podniosła

Bajka

Pomnę dni dawnych chwile wieczorne,
Gdy srebrny księżyc na niebie lśnił,
Z dala się niosły dzwony klasztorne,
A mrok powoli świat senny krył...

Brała mateńka mnie w swe ramiona,
Legend i baśni wskrzeszając cud,
I nad łóżeczkiem mym pochylona,
Wiodła mnie szeptem w krainę złud...

...O szklanej górze, skarbie zaklętym,
O złej macosze bajała mi,
A ja wchłaniałem czar niepojęty,
Co w wiośnie życia jeno się śni...

I zasypiałem — skłoniwszy głowę,
Marząc o domku, co z cukru był,
Wierząc w miraże bajki tęczowe,
W świat — który jeno w dziwach się krył...

W Świętego Starca ze siwą brodą,
Co dary niesie w grudniową noc,
Którego modły dziecięce wiodą,
Dziecięcych pragnień przyzywa moc...

Dzisiaj — nie trzeba mi żadnej bajki...
Chwile dni młodych daleko już,
Zamiast fantazji barwnej mozaiki,
Wiodło mnie życie wśród chmur i burz...

I jeno czasem — gdy zmierzch zapada
A wiatr u okien jęczy i drzwi,
Echo przeszłości bajkę mi gada,
I wtedy mi się dzieciństwo śni...

Stefan Krasiński

go do skroni. Skoczył ku niej, jak błyskawica i wykręcił jej ramię. Krzyknęła z bólu. Buchnął strzał i utkwił w szafie.

Wyrywała mu rękę. Gniótł jej kostkę w żelaznych palcach. Padł drugi strzał i przebiwszy szybę, poleciał do ogrodu.

— Jak pani się nie wstydzi!

Poczęli szamotać się. Ubezwładnił ją w ramionach, jak dziecko.

— Co pani chce zrobić? Na co to?

Nagle rozpłakała się zmęczona i wyczerpana. Wyciągnął z jej palców rewolwer. Wielkie łzy spływały jej jedna za drugą po białej, jak opłatek, twarzy.

— Agnes! Agnes! Boże, ja chcę umrzeć! Co ja im powiem... rodzicom, jemu... Co się z nią stało?! Przecież przyrzekła mi... przysięgała... nie oddalać się... Jezu! Jezu!

Upadła twarzą na pościel, gryząc ręce z rozpaczy. Stanisław usiadł przy niej:

— Niech się pani uspokoi! Przecież płacz nic nie pomoże! Będziemy jej szukać. Trzeba podnieść się, zebrać siły, zawiadomić policję.

— Ja? Nie! Nie! Róbcie, co chcecie! Ja nie chcę o tym słyszeć, nie chcę!

— Musi pani słyszeć o tym! Nie trzeba poddawać się rozpaczy. Przecież to nie pomoże ani Agnes, ani pani! Tak nie można. Zabić się pani chciała? Przecież żyjący prędzej obmyśli ratunek!

— Co wymyślę!? Przecież głową muru nie przebiję! Co ja powiem tym nieszczęśliwym rodzicom? Już trzecia! Trzecia — i Agnes! Moja droga Agnes! Przeklęta niech będzie chwila, w której znalazła się w moim domu!

Głos jej się urwał w gardle. Miała ochotę już nie krzyczeć, ale wyć z rozpaczy. Stanisław z niewysłowioną troską spoglądał w jej mieniącą się twarz, nie wiedząc, jak ją pocieszyć, co powiedzieć. Bo też istotnie to, co się stało, było dla Flory ciosem tak strasznym, że nic już gorszego spotkać jej nie mogło. Jego samego tak przygnębił wypadek, że gdyby nie obawa o Florentynę, pewnie byłby również stracił równowagę i zimną krew. Trzeba było teraz myśleć i działać za dwoje, za siebie i za nią.

— Proszę wstać i przebrać się. Jest pani zupełnie przemoczona. Pojedziemy oboje na policję.

— Nie jadę! — wybuchnęła Flora.

Pochylił się i zajrzał jej prosto w oczy.

— Pojedzie pani! — rzekł groźnie.

Umilkła, zdumiona i onieśmielona. Po raz pierwszy w życiu przybrał wobec niej taki ton.

Zadzwonił na służącą, a gdy weszła oddalił się ku oknu.

— Pomóż pani przebrać się!

Służąca patrzyła to na Florę, to na Stanisława.

— Weź panią za parawanik. Ja nie wyjdę z pokoju!

Florentyna przygryzła usta.

A on stał przy oknie nieruchomo, chwytając uchem każdy szelest, dochodzący go zza parawanu. Oczy jego błądziły po czarnej linii lasu, który ginął w nocnych mrokach. Miał wrażenie, że z mokrej leśnej głębi wynurzają się jakieś potworne macki, by ogarnąć sobą Florentynę, jej dom i całe jej życie. Coś mu na piersiach ciążyło tak nieznośnie, jakby mu głaz serce przytłoczył. Z troską i lękiem przetarł czoło.

Co przyszłość przyniesie?

XII.

Stało się wreszcie to, co się stać musiało: podejrzenie padło na Florentynę.

Pierwsze poszlaki, świadczące przeciwko niej, powstały już podczas śledztwa wstępnego. Gdy więc policja, po ukończeniu tego śledztwa, przesłała akta do prokuratury w Nowym Sączu, wskazując na Dęborówną, jako podejrzaną, prokurator zarządził natychmiastowe aresztowanie jej i polecił sędziemu Sądu powiatowego w Zakopanem przeprowadzenie śledztwa sądowego.

I wówczas sieć fatalnych poszlak zacieśniła się jeszcze wokół Florentyny. Przewód sądowy wykazał, że wszystkie trzy zaginione, a więc Janina Mierzyńska, Ewa Bronówna i Agnes Balfoor znalazły się w Hotelu Wielkim albo z namowy Florentyny, albo w jakiś inny sposób zostały przez nią nakłonione do przebywania w jej pensjonacie.

Ale najsilniej obciążały Florę zeznania świadków, dotyczące przebiegu całej jej znajomości z zaginioną ostatnio Agnes. Z zeznań tych wynikało, że Dęborówna, wykorzystując uwagę, którą zwracała na nią zawsze i wszędzie jej niepospolita piękność, dążyła rozmyślnie do zawarcia znajomości z panną Balfoor i — uzyskawszy nad nią moralną przewagę, — wykorzystała ją dla namówienia jej do przebywania w Hotelu Wielkim.

Nikt nie umiał wyjaśnić, dlaczego Agnes Balfoor tak kategorycznie upierała się przy wyjeździe do pensjonatu Dęborówny. Rodzice zeznawali, że nie potrafiły jej odwieść od tego postanowienia żadne prośby i perswazje.

Okazało się, co zresztą zwróciło uwagę ogólną już dawno, że z Hotelu Wielkiego znikały same istoty młode i wyjątkowej piękności. Na tej podstawie wysnuto druzgocące oświadczenie, że gdyby Florentyna nie była bezpośrednio zainteresowaną, byłaby przede wszystkim sama padła ofiarą, jako osoba w równym z zaginionymi wieku, a obdarzona urodą tak nadzwyczajną, że najsławniejsze piękności nawet równać się z nią nie mogły.

Gdy więc ukończono śledztwo sądowe i przekazano całą sprawę prokuratorowi, prokurator oskarżył Florentynę o uprawianie tajnego handlu żywym towarem, względnie o współdziałanie w tajnym handlu żywym towarem. Równocześnie polecił przewiezienie jej do aresztów śledczych Sądu Okręgowego w Nowym Sączu, gdzie zostało wdrożone postępowanie dowodowe przeciwko niej.

Florentyna przyjęła ten nowy cios z zupełnym spokojem. Od czasu zaginięcia Agnes popadła w stan takiej depresji i martwoty, że oskarżenie nie zrobiło na niej żadnego wrażenia.

Natomiast Edyth szalała z rozpaczy. Wróciła z zagranicy w jakiś tydzień po wypadku. Gdy Florę aresztowano biedna Edyth dostała strasznego ataku serca, że cudem tylko nieomal udało się przywrócić ją do przytomności.

Panna Ferallano poprzysięgła sobie choćby kosztem całego swego majątku udowodnić niewinność przyjaciółki. Ściągnęła na jej obronę czterech najsławniejszych adwokatów, z którymi odbywała bezustanne narady, wciąż czynna i ruchliwa.

Natomiast Stanisław Grzebiński był ponury i milczący. Coś przetrawiał, coś postanawiał, ale czekał rozprawy.

Jedna tylko myśl gnębiła go i przejmowała rozpaczą: oto, gdyby nawet Florentynę uwolniono, to nie jako niewinną zarzucanego jej czynu, ale z braku dowodów winy, a wtedy przez całą resztę życia musiałaby dźwigać na sobie piętno oskarżenia i to oskarżenia najbardziej hańbiącego, jakie mogło spotkać kobietę.

Czekał, ufając, że czas sam najlepiej wszystko wyjaśni. Ale dni płynęły mu w smutku i męce. Przy tym dławiła go nieznośna tęsknota, gdyż nikomu nie pozwolono widywać się z Florą. Powiedział jej tylko przez obrońców, że czuwa, i że przygotowuje się do walki na śmierć i życie o jej wolność i cześć.

Obydwoje z Edyth na cały czas rozprawy zamieszkali na stałe w Nowym Sączu. Grzebiński dziwnie jakoś unikał Edyth, a gdy spotkali się nie umiał być wobec niej tak przyjaznym, jak poprzednio. Edyth jednak nie zauważyła tego, albo widocznie tłomaczyła to sobie przygnębieniem Stanisława. Była zresztą tak zajęta, że nie miała czasu na widywanie się z Grzebińskim chyba, że wymagało tego dobro Flory.

Zliżył się wreszcie dzień rozprawy. Do Nowego Sącza przybyli główni świadkowie: Balfoor'owie z najstarszym swym synem Janem, Edyth i Stanisław, następnie cała służba hotelowa i wszyscy niemal pensjonariusze, którzy przebywali w Hotelu Wielkim w dniu zaginięcia Agnes. Wezwano również ze Lwowa profesora Bronę z uwagi na to, że równocześnie miał być wznowiony przewód w sprawie zaginięcia Ewy Bronówny i Janiny Mierzyńskiej. Opiekun tej ostatniej również przybył z Warszawy na rozprawę wezwany jako świadek. Oprócz tych wszystkich świadków, których zeznania miały decydować, powołano jeszcze mnóstwo innych, a mianowicie portierów lóż teatralnych nr 8 i 9 z Opery Warszawskiej i służbę bufetową, która wieczoru tego usługiwała przy stoliku całego towarzystwa.

Wszyscy ci świadkowie przybywali w miarę, jak wzywano ich na rozprawę. Pierwsi zeznawali państwo Balfoor i Jan następnie Stanisław i Edyth. Po ukończeniu ich zeznań, obrona wniosła prośbę o pozwolenie, by rodzina Balfoo'rów oraz Grzebiński i Edyth Ferallano mogli przez cały czas rozprawy pozostawać na sali, pierwsi z uwagi na to, że chodziło o istotę im najbliższą, drudzy rzekomo z uwagi na to, że będą potrzebni obronie. Domyślono się, że Stanisław i Edyth mieli pozostać dla oskarżonej, która chciała w tych ciężkich dla niej chwilach mieć ich przy sobie. Prokurator sprzeciwił się wnioskowi co do Stanisława i Edyth, ale przewodniczący prośbę obrony uwzględnił w całości. Wystąpieniem tym szlachetny człowjek zyskał sobie ogólną sympatię i wdzięczność. Nagrodzono pozwolenie oklaskami.

Dni płynęły. Zeznania niektórych świadków wypadały wyraźnie na korzyść Florentyny, inne — jakkolwiek składali je ludzie usposobieni do Flory z gruntu życzliwie — zacieśniały wokół niej sieć poszlak.

Pewne pociągnięcia prokuratora potrafiły wreszcie zachwiać ludźmi. Obrona zbijała te pociągnięcia swymi wywodami, ale jednak nastawienie opinii publicznej powoli ulegało pogorszeniu.

Ciąg dalszy nastąpi







Pismo mówi prawdę

GRAFOMETRYCZNY SYSTEM POZNAWANIA CZŁOWIEKA PO JEGO RĘKOPISIE

Ostatnio doniosły gazety niemieckie, że na uniwersytecie w Greifswald ustanowiono nową katedrę grafologii w osobie dr Rudolfa Pophala. Jest to już trzecia uczelnia akademicka w Niemczech, — po Wiedniu i Hamburgu — uprzystępniająca ogółowi zdobycze człowiekoznawstwa najnowszej daty, jaką jest grafologia naukowa.

„Niech będzie błogosławionym ten, kto wynalazł pismo!" — śpiewa natchniony wieszcz staroaryjskich Wedów. W naszych czasach nie powinniśmy zapomnieć o tym uczonym, który dokładnie 100 lat temu obdarzył nas swą „grafologią" — mianowicie o księdzu archiwariuszu francuskim Michonie. On to wyprowadził ostatnią z ‚tajemnych" wiedz, mianowicie „chiromancję" na dzienne światło wiedzy — wykazując, że nie „sumaryczne" rysy wewnętrznej dłoni są charakterystycznymi dla człowieka, ale ruchy dłoni piszącej, w której odzwierciedla się każdy odruch nerwów — uczuć i myśli.

Od czasów ks. Michona wiele się jednak zmieniło w poglądach na psychologię i fizjologię pisma. Powstała cała wielka wiedza o „wyrazie" człowiekoznawczym. Jest to podstawa dla całego systemu grafologicznego największego obecnego naukowca w tej dziedzinie, dr Ludwika Klagesa, z Wiednia.

Cała ludzka „budowa ciała" i cała człowiecza jaźń — „wyrażają" się na rozmaitych odcinkach „analogicznie". Poznajemy człowieka z oddali po jego chodzie, w którym tkwi coś „charakterystycznego" — podobnego zresztą do jego gestykulacji, do jego mimiki twarzy — a na końcu do jego „rękoczynów" graficznych, — czyli do jego pisma, o ile jest choćby trochę „wyrobione".

Już starożytni Grecy mówili o „charakterze — słowa pochodzącego od „charatein" czyli „wryć" — a Rzymianie mówili o „stylu", które to słowo pochodzi od „stilus", czyli rylec do pisania. Odczuwali oni, że nie „ręka" (ten najbardziej „ludzki" organ!) pisze, ale dany typ ręki i dany rodzaj mózgu, — czyniąc tym samym rękopis najcharakterystyczniejszym objawem danego wyrazu człowiekoznawczego.

Wystarczy rzucić okiem na obok naszkicowane „twarze" fizjognomiczne — by się „przekonać" o prawdziwości „grafologicznej", rysy bowiem twarzy nie mogą nic innego oznaczać jak „rysy" graficzne pisma. Pismo składa się również z samych „kresek", prostych lub krzywych, — podnoszących się i opadających — łukowych lub kanciastych — a „znaczenie" tego wszystkiego zdradzają nam już same rysy i ruchy „mimiki" twarzowej. Robiono jednak jeszcze bardziej naukowe doświadczenia. Dr Krafft-Ebbing pogrążał osoby w sen hypnotyczny i wykazał, że po sugerowaniu hypnotyzowanym pewnych „przymiotów" — zmieniały się też całkiem określone szczegóły rękopisowe tych osób.

Ale trzeba było wcześniej jeszcze dokładnie zdefiniować i sklasyfikować samo pojęcie „charakteru" — oraz zanalizować grupy i elementy każdego pisma — nim się mogło przystąpić do określania „charakteru" z czyjegoś „pisma".

Dokonał tej zasadniczej pracy „charakteriologistycznej" i „graficzno-analitycznej" wspomniany Klages — a za nim zastęp uczonych grafologów całego świata — z chwilą gdy okazało się, jak wielkie zastosowanie praktyczne posiada grafologia naukowa: dla pedagogii, dla doboru pracowników — dla poradnictwa małżeńskiego, a nawet dla diagnostyki chorób („patografia" dr Lommera).

Z drugiej strony niestety stała się grafologia żerem dla wszelkiego rodzaju domorosłych „kabalarek" lub „jasnowidzów", zabezpieczających swe nieuctwo wykrętną nazwą „psychografologia". Humorystycznie nazywam psychografologów, takich grafologów, co zeszli ... na psy!

Po tym krótkim ogólnym referacie należałoby interesujących się grafologią naukową zapoznać z niezbędną klasyfikacją tego, co się zowie „charakter" i tego czym jest „pismo" — bo dopiero wtedy można w ogóle przystąpić do „ekspertyzy", bez potrzeby dziwactwa lub oszustwa „wczuwania" się w czyjś rękopis.

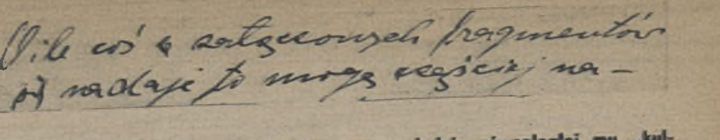
Każdy rękopis (nawet egzotyczny) składa się, zasadniczo, z siedmiu grup „formalnych", mianowicie trzeba umieć rozróżnić: **poziom** pisma (czyli jego „wyrobienie") — **wielkości**



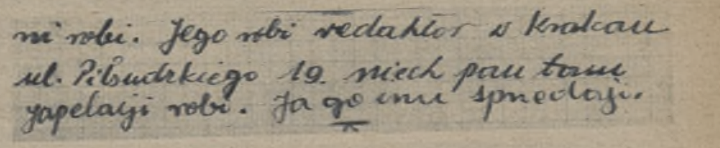
FIZJOGNOMIKA

— jako naoczny dowód słuszności grafologii — czyli wnioskowania z „rysów" rękopisowych na charakter człowieka — przy czym te rysy nie mogą mieć innego znaczenia, niż naocznie dla każdego wynika z „rysów" twarzy. Naturalnie pozwalają niewspółmiernie liczniejsze rysy (proste i krzywe, łuki i kanty, opadania i wznoszenia) rękopisowe na ściślejsze określenie charakteru, aniżeli „mimiczne" określenie — dlatego też już w starożytności stwierdzono, że „vultus decipit" czyli „twarz myli" — bo można ję „panowaniem nad sobą" maskować.

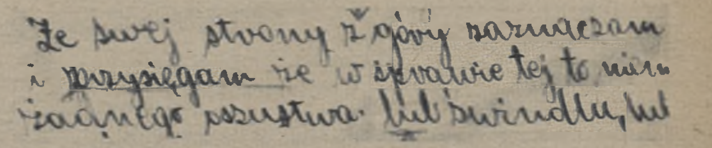
Charakterystyka pięciu rękopisów — przedstawiających pięć odmian poziomu graficznego — jako wyrazu pięciu zasadniczych typów „stanu" kulturalnego danych osobników. Poza tym uwzględniają poszczególne grafologiczne szkice też dalszych sześć „form" i „stanów", graficznych i psychologicznych — przy „sumarycznym" wnioskowaniu o stanie „budowy ciała" — względnie wieku i płci — chociaż wszystko jest tu raczej „eksperymentalną", niż dokładną oceną.



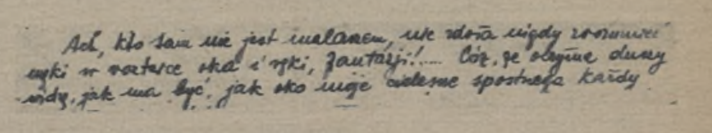
Powyższy rodzaj „poziomu" graficznego względnie równoległej mu „kultury" wskazuje na pismo „nieopanowane" — pod niejednym względem „zaniedbane" — mimo wyszkolenia i wrodzonych zdolności, uwydatniających się z grafometrycznych „rozmiarów". Zarazem jest to bieg pisma, zatem i temperament, niezmiernie nieharmonijny, więc i człowiek nastrojowy i wybuchowy. Ukształtowania są indywidualne, zatem i twórczość osobista jest tu żywa — przy „literackiej" fantazji — ale naciskowość i łączenie liter hamują zalety umysłu i woli. Są to „sumarycznie" nacechowania raczej niewieście — przy budowie ciała typowo szczupło-wyższej (asteniczno-leptosomatyczne) — przy niejednych niedomaganiach zdrowotnych, ale o wielkiej ogólnej wytrzymałości. Temu typowi niewieściemu odpowiada tylko mężczyzna bardzo spokojny — zatem o rękopisie „stylizowanym", o neutralizacjach usposobienia naiwnego lub dobrotliwego.



Powyższy typ pisma „niewyrobionego" mówi, że pisał go człowiek o kulturze raczej analfabetycznej — a więc np. robotnik lub rolnik. Posiadając wielkość liter średnią, jest człowiekiem normalno-praktycznym — pod względem utalentowania wielostronnie obdarzonym — chociaż nie szkolony. Bieg pisma jest nieregularny, bez odnóg dolnych i górnych, zatem temperament mało czuły. Ukształtowania liter, czyli jego zainteresowania są realne — ani artystyczne ani delikatne, lecz „materialne". Łączenie liter jest ścisłe, zatem i logiczność myślenia. Nachylenie liter jest chwiejne, zatem uczuciowość nastrojowa. Wreszcie naciskowość jest ponadprzeciętna, zatem człowiek o nie małej energii żywotnej. Takie nacechowania sumują się na typ męski — na budowę ciała nisko-grubawą, na zdrowie o nacechowaniu „hormonalnym" i na wiek poniżej 30 lat.



Powyższy autograf jest typem pisma „szkolnego", zatem typ człowieka bardzo „naiwnego" jeszcze. Zbyt wielkie wymiary liter wskazują na człowieka skłonnego do przesady, rozrzutności lub „blagi" — bieg pisma jednak jednostajny, co pozwala wnioskować o temperamencie zahamowanym. Ukształtowania liter są szablonowe, chociaż ze skłonnością do „niewieścich" stylizowań — co też jest charakterystycznym — ale też oznacza artystyczne zainteresowania. Rozum, uczucie i wola są tu w łączeniach liter, w nachyleniu ich i w naciskowości, ciekawe tylko odnośnie „przewrotności" nachylenia, co wskazuje też na człowieka o dziwacznych lub nieszczerych postępowaniach. Rezultanta nacechowań wskazuje na młodego pretensjonalnego człowieka ale o praktycznych porywach, któremu trzeba przede wszystkim „wyszkolenia" fachowego.

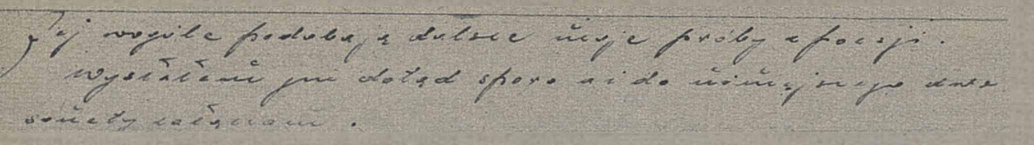


Ten oto typ pisma uwydatnia czwarty rodzaj „poziomu" lub „kultury" piszącego — jako pismo nadzwyczaj „urozmaicone", a przecież „harmonijne",

Ciąg dalszy na stronie 10-tej

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900

co wskazuje na typ człowieka „twórczego". Wielkości liter są tu normalne — natomiast ukształtowania są bardzo indywidualne — co wskazuje na bujną, ale „szkoloną" fantazję — przy harmonijnym łączeniu wzg. odrywaniu liter od siebie. Nachylenie natomiast wskazuje na „realnego" człowieka, bez urazów neurotycznych. Bieg pisma wskazuje na optymizm i równowagę, zaś naciskowość na energię „wyrozumiałą". W takich pismach są sumaryczne wnioski „rodzajowe" i konstytucjonalne trudniejsze i wymagają szczegółowych badań.



Jest to trzeci typ „poziomu" pisma rodzaju „stylizowanego" — co zawsze odnosi się do ludzi „formalnych". Wielkość liter wskazuje na człowieka raczej niepraktycznego i pedanta. Zaś ukształtowanie wskazuje na bardzo estetyczną indywidualność — tak samo jak oderwanie liter od siebie wskazuje na naturę „intuicyjną". Nachylenie liter jest znaczne, więc oznacza nerwowość (choć opanowana: regularność!) zaś delikatny nacisk wskazuje na energię powolną, ale konsekwentną. Jest to typ człowieka trochę zniewieściałego, ale raczej z powodu swej asteniczno-leptosomatyczności (szczupłości).

KLASYFIKACJA GRUP „STANÓW" PSYCHICZNYCH i ich poszczególnych „przymiotowości" — tak pisanych (w przybliżeniu!) — jakby je pisał człowiek, obdarzony danymi przymiotami. Liczby rzymskie i arabskie odpowiadają analogicznym liczbom klasyfikacji pisma.

Stany i przymioty

I. KULTURA:
1. nieuctwo
2. naiwność
3. formalność
4. indywidualność twórczość
5. zaniedbanie

II. TEMPERAMENT:
6. spokój
7. nastrojowość
8. optymizm
9. organizacja
10. postęp

III. TALENTY:
11. pedanterja
12. praktyczność
13. artyzm
14. idealność
15. materjalizm

IV. INTERES:
16. [illegible]
17. serdeczność
18. oporność
19. naukowość
20. wielostronność

V. ROZUM:
21. logiczność
22. intuicja
23. skąpstwo
24. [illegible]
25. podejrzliwość

VI. UCZUCIE:
26. realność
27. skrytość
28. przywiązanie
29. [illegible]
30. [illegible]

VII. WOLA:
31. [illegible]
32. wytrwałość
33. energja
34. zmysłowość
35. [illegible]

KLASYFIKACJA GRUP „FORM" GRAFICZNYCH oraz ich poszczególnych „elementów" — odpowiadających w liczbach rzymskich i arabskich siedmiu grupom —, po pięć „elementów" — równolegle do podobnego liczbowego ujęcia „stanów" psychicznych „tłumaczących" grafologicznie, dane „rozpoznane" pismo.

Formy i elementy

I. POZIOM:
1. prymitywne pismo
2. szkolne „
3. stylizowane „
4. indywidualne „
5. zaniedbane „

II. BIEG PISMA:
6. regularność
7. falistość
8. rytmiczność
9. praworzutność
10. wsteczność

III. WIELKOŚĆ LITER:
11. małe litery
12. średniej wielkości
13. duże litery
14. górna strefa
15. dolna strefa

IV. KSZTAŁTY LITER:
16. arkady
17. girlandy
18. kąty
19. uproszczenia
20. urozmaicenia

V. ŁĄCZENIA LITER:
21. wiązanie
22. przerywanie
23. ścieśnianie
24. rozszerzanie
25. nitkowość

VI. NACHYLENIE LITER:
26. prostopadłe pismo
27. lewopochyłe
28. prawopochyłe
29. bardzo skośne
30. chwiejne

VII. CIENIOWANIE:
31. cienkość
32. zmienność
33. grubość
34. zamazanie
35. drżenie

liter — **bieg** wiersza — **kształty** literowe — **łączenie** liter — **nachylenie** liter — i **naciskowość** pisma. Każda z tych rękopisowych grup („form" pisma) występuje w pięciu możliwych „elementach", które są wyszczególnione w tabelkach poniżej według mojego systemu „grafometrycznego". Mamy zatem zasadniczo 35 nacechowań „graficznych" jakiego bądź rękopisu, które starczą dla ogólnej znajomości pisma. Właściwie jednak wchodzi, przy rozbiorze jakiegoś pisma tylko siedem cech graficznych w grę, albowiem jeden rękopis wykazuje z każdej grupy tylko jedną „cechę" zasadniczą.

Tak samo trzeba znać klasyfikację „charakteriologistyczną" czyli trzeba poznać siedem zasadniczych grup „stanów" psychicznych, a w każdym z tych stanów charakteru trzeba rozróżnić po pięć poszczególnych „przymiotów", by je urównoleglić na koniec do poprzednio stwierdzonych „form" względnie „elementów" graficznych. Tabelka wykazuje „punktacyjnie" ujęte — pod sobą podpisane — 35 przymiotów. Poszczególne przymioty są tak „pisane", jakby je pisał człowiek, który posiada nacechowanie danego przymiotu. Co pięć tej skali przymiotowej i skali elementów rękopisowych odnoszą się do jednej z siedmiu grup charakteru lub pisma — przy czym każda z tych grup ma uwydatnić jedną z pięciu możliwych „wartościowań", jako bardzo dobry, dobry, przeciętny, zły lub bardzo zły.

Tak uzbrojeni w naukową „klasyfikację" charakteru i pisma — możemy wyciągać daleko idące wnioski o danym człowieku — nie tylko odnośnie jego charakteru ale też „człowiekoznawczo", odnośnie jego „budowy ciała", płci, a nawet chorób i wieku.

Okazało się bowiem, że pewien „zespół nacechowań charakteru" odnosi się do dwóch „typów" cielesnych — do ludzi wysokoszczupłych, albo do jednostek grubawo-barczystych. Są to typy z dr Kretschnera: „Budowa ciała a charakter".

Tak samo stwierdzono grupy przymiotowe, które razem wzięte pozwalają wywnioskować, jakiej płci jest badany piszący lub na jakie choroby cierpi względnie jakiego jest wieku.

Niestety, nie ma możności w ramach tak szczupłego artykułu, nauczyć zainteresowanych całej praktyki grafologicznej. Ale na przykładzie kilku autografów z teki redakcyjnej może nabędzie czytelnik przekonania o słuszności człowieko-znawczej grafologii naukowej.

Henryk Grudziński
zaprzysiężony pismo-znawca

PIERWSZY CIOS

Tak dawno...

Olbrzymie płatki śniegu tańczą zawrotnie za oknem i miękko, bezszelestnie opadają w dół. Na framugach za szybami usadowił się gruby, puszysty kożuch i rośnie, rośnie.

W pokoju jest ciepło i jasno. Ciepło, bo w piecu buzują płomienie i trzaskają iskry, a jasno, bo wielki żyrandol rozsypuje dokoła rzęsistą poświatę.

Dwie dziewczynki obejmują się ramionami przez plecy i chodzą zwolna, monotonnie dokoła stołu. Mówią coś do siebie cicho i tajemniczo. Co chwila szafirowe oczy starszej splatają się z ciemno-zielonymi oczyma młodszej, by potem razem z nimi, pobiec porozumiewawczo w stronę pieca, gdzie przy fotelu bawi się najmłodsza.

Małe dziewczątko drży z niecierpliwości, bez miłosierdzia wykręcając ręce i nogi trzymanej w rękach lalce. Wie dobrze, że lada chwila siostry wezwą ją do siebie i powiedzą wszystko, jak zwykle, więc udaje obojętność, nawet odwraca się tyłem dla tym silniejszego zaznaczenia swego lekceważenia dla ich tajemnic. Lecz ruchy jej są niespokojne i rwące, oczy co sekunda spoglądają ukradkiem w stronę szepczących starszych dziewczynek, a gdy pada z ich ust jakieś głośniejsze słowo zrywa się, wprowadzona w błąd, by biec do nich. Za chwilę spostrzega omyłkę, przykuca znów przed fotelem jeszcze bardzie zgorączkowana niż przedtem. Dręczona lalka rozpaczliwie przewraca oczami. Wreszcie...

— Celi!

Serce Celi zatrzymuje się na sekundę. Na próżno usiłuje okazać obojętność, że przecież... niby cóż... wcale jej nie zależy... bynajmniej nie jest ciekawa. Zadaje jednak (ach, ileż to kosztuje!!) pytanie:

— Co chcesz?

— No, chodź!

Lalka zatoczyła się pod piec. Coś tam pękło i strzeliło, ręka, noga lub głowa, ale mniejsza z tym! Niech strzela nawet dziesięć razy. Marcela podrywa się i na wiotkich nożynach biegnie w stronę sióstr, jak może najspieszniej. Biorą ją w środek i troskliwie otaczają ramionami.

Chodzą teraz dokoła stołu we trójkę, równo, rytmicznie, jak żołnierze: raz, dwa, raz, dwa, raz, dwa.

Przez chwilę cisza. Świecące szare oczy Celi spoglądają uparcie w twarze Zochny i Właduśki.

— Celi, wiesz...

— Co?

— A nie wypaplesz?

— Też coś, no wiesz! — Okrągła twarzyczka Celi robi się czerwona jak rak z oburzenia i urażonej godności.

— Przysięgnij!

— Jak Julka kocham! (Najstarszy brat. Umiłowany. Dla niego robi się wszystko).

— Pamiętaj!

Zochna na chwilę przerywa. Do rozmowy miesza się Duśka.

— Dzisiaj Mikołaj chodzi, wiesz?!...

— Ach! — wyrywa się Celi. Wie... Oczywiście! Przecież mówi się o tym od wielu dni, a Julek zapytał nawet, czy chciałaby specjalnie prosić o coś św. Mikołaja. Chciała! Jeszcze jak! Czyż nie modli się od kilku dni o grubą, przepięknym obrazkiem wabiącą z wystawy, książkę? Albo dla Julka o rower, o którym tak marzy?

Są jeszcze inne pragnienia, inne marzenia, o których nie powiedziało się nikomu, nawet(!!) Julkowi. Jacy oni śmieszni wszyscy w domu: myślą, że ona, Celi, będzie spała dzisiaj w nocy! Oka nie zmruży! Będzie tylko udawała. A gdy wszyscy zasną, podejdzie do okna i będzie wypatrywać świętego Mikołaja. Gdy przyjdzie, weźmie go za szyję (bo jest strasznie dobry i uśmiechnięty) i powie mu wszystko... wszystko... A tyle ma do powiedzenia! Ileż to tęsknot uzbierało się przez rok w dziecięcym sercu?! Ileż łez przewinęło się przez oczy, nie rozróżniające jeszcze kolorów życia! Ile smutków trawiło małą duszyczkę? Tyle rzeczy chciało się wiedzieć, o tyle zapytać... I nikt nie odpowie, tylko On sam, albo... albo anioł! Bo przecież będzie i anioł. Zawsze jest. Ma cudną twarz, blask nad głową i różowe albo niebieskie skrzydła.

Wszystkie myśli, wszystkie dążenia Celi zbierały się od kilkunastu dni w jednym olbrzymim pragnieniu: ujrzeć św. Mikołaja i pomówić z nim! A potem — potem już wszystko będzie dobrze z tym dziwnym „czymś", czego nazwać nie można, a co dziewczynkę przygniata tak niemiłosiernie i tak już dawno...

Celi twardo postanowiła w swej pięcioletniej duszy, że musi zobaczyć się ze świętym Mikołajem, — musi! Całe przedpołudnie prawie leżała cichutko na kanapie w pokoju ojca i chciała spać, by się wyspać na zapas, a w nocy czuwać. Sen jednak nie przyszedł. Ale to nic! Celi i tak wie, że nie zaśnie.

Zdyszane głosy Zosieńki i Duśki wpadają w myśli Celi:

— Tatuś mówił dziś po obiedzie do Julka, że zabiera go wieczorem do miasta. Julek zapytał, po co? a tatuś spojrzał w naszą stronę i mrugnął, a Julek chwycił się za usta. Oczywiście udawałyśmy, że nic nie widzimy! Potem mama powiedziała Julkowi, że nie pójdzie na lekcję, bo jest potrzebny i on powiedział, że już wie... — a Rózi kazała opróżnić i przygotować koszyk. Słuchałyśmy za drzwiami! Rozumiesz? Wiesz, co to znaczy? To wcale św. Mikołaj nie chodzi, tylko tatko z mamą kupują i podkładają pod poduszki! A ty wierzysz, że to sam święty Mikołaj! No, ale ty jeszcze jesteś dziecko, — cedzi pobłażliwie Zosieńka z wyniosłości swych ośmiu lat. — Ale pamiętaj, że nie masz mówić! Udawaj, że nic nie wiesz!

— A... a jeżeli... to... naprawdę święty Mikołaj?... to co!?! — szepcze zdenerwowana Celi.

— Głupiaś! To się tylko tak mówi dzieciom. My wiemy dobrze, że tak nie jest. Dzisiaj w klasie mówiłam o tym z koleżankami, — dodaje Zosieńka tonem wyższości.

Do pokoju wchodzi nagle piętnastoletni gimnazjalista w mundurku, śliczny chłopak, podobny do Zochny jak dwie krople wody.

Celi wyrywa się z objęć sióstr i biegnie ku bratu:

— Juluś! Julek!

Bierze ją na ręce i całuje kilkakrotnie. Potem stawia na podłodze i spogląda uważnie na starsze dziewczynki, które porozumiały się już oczami i teraz obojętnie wodzą oczyma po ścianach i suficie, mówiąc o byle czym.

— Co robicie, sroki? — pyta chłopiec.

— Nic, jak widzisz! — odpowiada pretensjonalnie Zochna, wzruszając ramionami, przy czym obie z Dusią okazują pogardę dla słowa „sroki".

Czekają, co zrobi i z czym przyszedł. Ale student pokręcił się bez celu, zagadał do Celi i wyszedł mówiąc, że mają się bawić tu i nie wychodzić, bo tu jest najcieplej! Tak kazała mama! I mają uważać na Celi!

Wyszedł.

Zochna położyła palec na ustach.

— Ciiicho!

Otworzyła drzwi do następnego pokoju i pociągnęła za sobą młodsze siostry. Szły na paluszkach, ostrożnie, przez ciemne pokoje, oświetlone tylko smugami, wpadającymi przez uchylone drzwi dziecinnego pokoju.

Stanęły za drzwiami, chowając się w przytulne i ciężkie fałdy portiery. Po drugiej stronie drzwi odezwał się kobiecy głos:

— Julek, bierz koszyk i wychodź prędko! Czekaj na podwórzu! Róziu, gdzieżeś ty? Podaj mi płaszcz! Pan już wyszedł?

— Pan czeka w sieni! — mówi służąca. Słychać delikatny chrzęst wdziewanego futra. Zochna z całej siły przydusza dłonią usta Celi w obawie, by nie zdradziła ich krzykiem. Celi szarpie głową, co zresztą nie przydaje się na nic.

— Uważaj na dzieci, Róziu! Połóż Marcelę spać. I nie zapomnij jeszcze opowiedzieć jej o św. Mikołaju, będzie posłuszniejsza! — śmieje się pani.

I za chwileczkę jeszcze:

— Pamiętaj o Romku, jak wróci z lekcji! Podaj kolację dziewczynkom tak, jak powiedziałam! Niech wcześniej idą dziś do łóżek.

Głos kobiecy milknie. Drzwi zamknęły się. Zochna porywa teraz obie siostry i pędem wracają do swego pokoju.

— Widzisz! Widzisz! Słyszałaś!?!

A w dziecku serce zwija się i kurczy... Boli coś... Krew gęstą lawą wali się do pulsów, do skroni! Na małą twarz wybijają w mgnieniu oka straszliwe rumieńce. Dziewczynka przystaje nagle bez tchu. Rozchylone usteczka chwytają powietrze głośno, rozpaczliwie, pospiesznie...

A w szarych oczętach zdumienie, przestrach, bezgraniczna rozpacz i łzy olbrzymie, jak perły.

A potem grad porących kropel i krzyk straszny, aż echo poniosło się po całym domu:

— Nieprawda! Nieprawda! Nieprawda!

Dziecko chwyta skronie drobnymi palcami, tupie nogami, zanosi się i trzęsie całe przebolesnym łkaniem.

Wpada Rózia.

— Co się jej stało?

Porywa Celi na ręce. Dziecko ma dłonie rozpalone ogniem, oddech parzy służącą w twarz, jak ukrop. Oczy szkliste, zmętniałe wielkie, goreją uderzająco niezdrowym światłem.

— Celi!! Co ci jest! — Rózia porywa małą na łóżko. — Coście jej zrobiły?

— Ależ nic! — krzyczą jedna przez drugą przerażone dziewczynki i same już mają oczy pełne łez. Bo naprawdę nie wiedzą co się stało...

Krysta Opalińska



SKUTKI OBCOWANIA Z MIŁOŚNIKIEM FILMU
Wybacz mi spóźnienie, papo, ale Jerzy chciał koniecznie obejrzeć ten sam film dwa razy. (Die Post)

Ona: — Gdybym ja była ministrem skarbu, to nałożyłabym straszne podatki na kawalerów.
On: — Masz rację — moja droga — bo nigdy nie można zbyt drogo opłacić swego szczęścia.

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE

— Nieraz trafi się pies przewyższający inteligencją swego pana.
— Racja, ja mam właśnie takiego psa.

*

— Dlaczego nie chce pani wyjść za mąż za Kazimierza? Wszak jest na dobrej posadzie, ma prawo do emerytury.
— Właśnie, właśnie ma już za wiele tego prawa.

*

— Moje dziecię, muszę ci powiedzieć o czymś strasznym. Twoich rodziców przejechał samochód.
— A jakiej marki?

*

— Pański kuzyn, to wartościowy człowiek.
— O tak. Kto go dostawi policji, dostanie 5 tysięcy złotych nagrody.

*

— Pan kapitan ma na pewno w każdym porcie kochankę.
— O nie, nie byłem jeszcze we wszystkich portach.

*

Właściciel sklepu starożytności do bogatego Amerykanina:
— Oto jest radioaparat, który Krzysztof Kolumb otrzymał, gdy odkrył Amerykę.
Amerykanin: — Ależ przecież wtedy nie znano jeszcze radia.
Właściciel antykwariatu: — No, dlatego właśnie jest tak cenny.

*

— Czy nie wiesz o tym, mój synku, gdy spotykasz znajomego na ulicy, powinieneś zdjąć swoją czapkę?
— Ależ dobrze, tatusiu, kiedy ta czapka jest Zbyszka.

*

— Panie aptekarzu, ta woda na pluskwy do niczego.
— A skąd wy to tak dobrze wiecie, gospodarzu?
— A bom wypił całą flachę, a bestie jak gryzły, tak gryzą.

*

— Panie dyrektorze z okazji mego ślubu należałaby mi się jakaś mała gratyfikacja.
— Niemożliwe. Powinien się był pan przed tym ubezpieczyć od wypadków.

*

— A zatem połamał pan swoją laskę na oskarżycielu?
— Nie miałem tego zamiaru.
— Jak to, nie miał pan zamiaru?
— No, laski nie chciałem połamać.



JEJ PIERWSZE JAJKO
....jeżeli wy wszyscy tak będziecie na mnie wytrzeszczać oczy..... to ja naprawdę nie będę mogła tego jajka znieść. (Die Post)

SZACHY

KĄCIK SZACHOWY Nr. 2 (23)
pod red. mistrza szachowego Europy i świata dr Aljechina
Końcówka (studium) Nr 1 — H. Rinck
Czarne: Kh4, Hd3, piony: d7, g6, h5 (5)
Białe: Kh1, Se2, Gd4, piony: d6, f3, g2 (6)
Białe zaczynają i wygrywają.

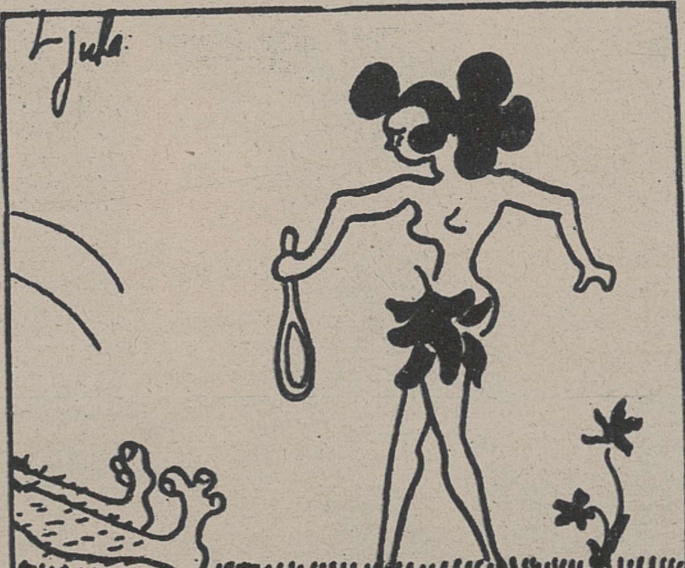
Partia Nr 94 (96)
Białe: Richter Czarne: Rohaczek
grana w turnieju o mistrzostwo Europy w Monachium 1942
System kataloński:

1. d2—d4 d7—d5	16. Sd4—f5![6]) Gc8—b7
2. Sg1—f3 Sg8—f6	17. Gg2×d5 Gb7×d5
3. c2—c4 e7—e6	18. Wd1×d5![7]) e6×d5
4. Sb1—c3 Gf8—e7	19. He2—g4 g7—g6
5. g2—g3 d5×c4	20. Sf5—h6 Kg8—g7
6. Gf1—g2[1]) 0—0	21. Hg4×d7[8]) Wa—d8
7. 0—0 c7—c5[2])	22. Hd7—h3 d5—d4
8. d4×c5! Hd8—c7[3])	23. Sh6—g4[9]) h7—h5
9. e2—e4 Sb8—d7	24. Gc1—h6 Kg7—h7
10. Hd1—e2 Ge7×c5	25. Gh6×f8 Wd8×f8
11. e4—e5 Sf6—d5	26. Hh3—h4 d4—d3
12. Sc3—b5![4]) Hc7—c6	27. Sg4—f6 Kh7—g7
13. Sb5—d4 Gc5×d4[5])	28. Sf6—d7 Hc5—d5
14. Sf3×d4 Hc6—c5	29. Hh4—f6 Kg7—g8
15. Wf1—d1 b7—b5	30. Hf6—e7![10])

Czarne poddały się po kilku posunięciach.

Uwagi:
1) Białe nie spieszą się z odzyskaniem piona.
2) Jest to tylko woda na młyn planów agresywnych przeciwnika. Należało grać: 7... Sb-d7.
3) Jeśli 8... H×d1 9. W×d1 G×c5 to 10. S—e5! z korzystnym odbiciem piona.
4) Ma na celu wymianę czarnego gońca królewskiego.
5) Lub 13... H—a6 14. a4 c3 15. S—b5 c×b2 16. G×b2 z silną pozycją i atakiem białych.
6) Początek rozstrzygającego manewru.
7) Zdobywa 2 lekkie figury za wieżę przy utrzymaniu ataku w swych rękach.
8) Grozi: 22. G—g5.
9) Grozi 24. H—h6 poczem matem w 2 ruchach.
10) Wymusza ogólną wymianę figur, poczem białe pozostają z przewagą wieży.
Richter prowadził atak bez zarzutu.

ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z Nr. 48.
Problem Nr. 1: 1. Kb3—a4! .



W RAJU:
Ewa: Czyż nie pięknie wyglądam, Adamie? To najmodniejsza sukienka z liści tytoniowych. Kupiłam ją sobie na twą kartę tytoniową. (Die Post)

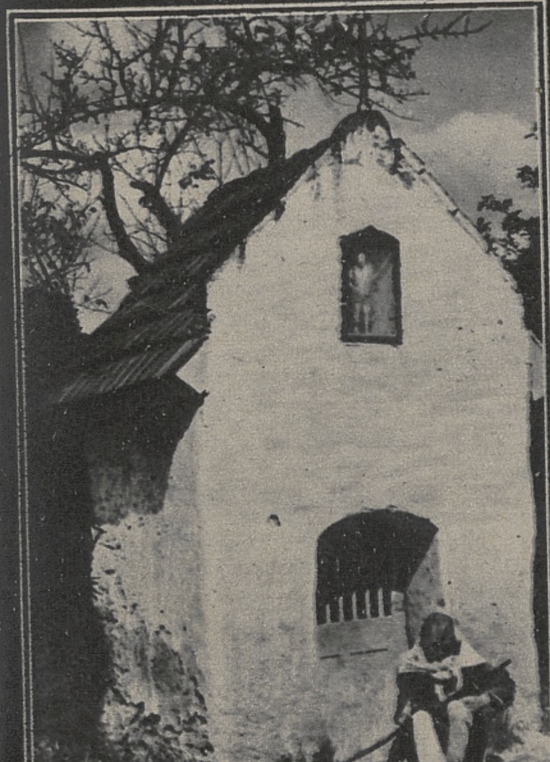
Rozrywki umysłowe

KRZYŻÓWKA
ul. W. Reichel z Jasła



Wyrazy poziome: 1. lokal rozrywkowy; 2. inaczej pył; 3. izba wielka; 4. bunt; 5. część okrętu; 6. mały gaj; 7. tytuł angielski; 8. mityczny król polski; 9. instrument muzyczny; 10. zwierzę morskie; 11. rzeka w Hiszpanii; 12. toń; 13. napój alkoholowy; 14. mieszkaniec Wschodu; 15. spis potraw; 16. figura płaska; 17. część świata; 18. postać biblijna; 19. rzeka, wpadająca do m. Kaspijskiego; 20. imię żeńskie; 21. część ciała; 22. stopień, ocena; 23. ciężar opakowania; 24. wyspa w Indiach Holend.

Wyrazy pionowe: 1. ptak wróblowaty; 2. taniec rosyjski; 3. należy do mebli; 4. grupa, stopień; 15. wyraz twarzy; 18. inaczej warstwa społeczna; 19. angielska miara wagi; 25. odgłos; 26. tajnik; 27. imię żeńskie; 28. banda; 29. określenie na: kury, gęsi; 30. imię męskie; 31. zwierzę domowe; 32. inaczej: związek, stowarzyszenie.



UWAGA! FOTOAMATORZY!
OGŁASZAMY III KONKURS!

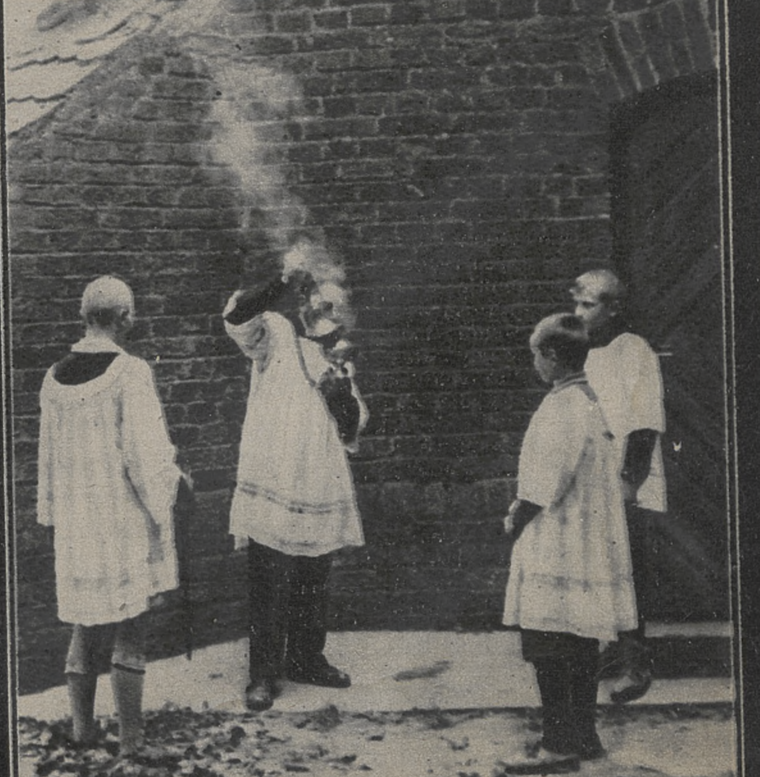
Niezależnie od II-go konkursu dla fotoamatorów, który pozostaje nadal aktualnym — ogłaszamy III-ci konkurs na zdjęcie pt. „Obrzędy ludowe Świąt Bożego Narodzenia".

Każdy motyw obrzędowy — przeniesiony na kliszę i wykonany według zasad i prawideł fotografii amatorskiej, może w zupełności wypełnić warunki konkursu. Unikać przy tym należy wyraźnego upozowania i — tak często powtarzanego — „patrzenia w aparat".

Temat bardzo obszerny, aktualny i nienasuwający żadnych trudności. Termin nadsyłania zdjęć konkursowych upływa z dn. 31 grudnia br. Wyróżnione zdjęcia zamieścimy w kąciku fotoamatorskim IKP., zaś dwa najlepsze otrzymają dodatkowe nagrody: I — 25 zł, II — 20 zł. Opracowane zdjęcia nadsyłać do Redakcji IKP. w zamkniętej kopercie z napisem „III konkurs fotoamatorów".

PRZYDROŻNA KAPLICA
Technicznie bardzo dobre, o melancholijnym temacie, zdjęcie. Kompozycja nieco chaotyczna z powodu słabego podkreślenia motywu zasadniczego. Tak kapliczka jak i siedzący dziad — znajdują się w położeniu pierwszoplanowym. Wykonał p. Adam Wojs z Limanowej. Aparat „Bessa" Voigtländer, przysłona 11, czas naświetlenia [illegible] sekundy.

MINISTRANCI
Ciemna, duża płaszczyzna jednolitego tła, wyraziście podkreśla zasadniczy motyw. Prosta i na pozór niewyszukana sytuacja tego zdjęcia, posiada przykładne walory dobrego i rozumnego ujęcia. Wykonał p. Stefan Malarski ze Skierniewic. Aparat Ve'fix przysłona 5.6 — czas naświetlenia [illegible] sekundy.



NIEMIECKA MISTRZOWSKA PARA TANCERZY LISELOTTE RÖSLER I JOCHEL STAHL W SWOIM TAŃCU APASZOWSKIM

LU!-MANIUSIU...

Na prawo:
Lu, Manius-u, rżnie muzyczka
Chcesz zatańczyć! — Jeszcze jak!
Już furkocze mi spódniczka
Aż się w koło wzbija wiatr.





Poniżej:
Antek ku niej się posuwa
Mania niby droczy się...
A spódniczka w górę fruwa
I odsłania nóżki dwie.



Na prawo:
Jeden krok... już przed apaszem...
Już w ramionach jest dziewczyna
Śni i marzy... A tymczasem
Wyżej wznosi się... kurtyna.



Powyżej:
Ach, jak słodkie to kochanie
Nasze teraz są te chwile.
Gdy muzyka grać przestanie
Skończy miłość się... i tyle.

Poniżej:
Mańka staje przed nim sroga
Antek cofać musi się,
Lecz jak skoczy — to dlaboga
Wnet z Maniusia bedzie zle





Powyżej:
Więc poddaje się dziewczyna.
Znów bandonium tęsknie gra
Raz się cofa, raz przegina
W czułym tangu na dwa pas.

Fot.: Konrad Weidenbaum

(-sza-)